

Kontynuacja bestsellerowej *Czerwonej Królowej*

VICTORIA  
AVEYARD



# SZKLANY MIECZ

WYSTARCZY KROPLA KRWI,  
BY WZNIĘCIĆ BUNT





VICTORIA  
AVEYARD

S Z K Ł A N Y  
M I E C Z

tłumaczenie  
Adriana Sokołowska-Ostapko



Kraków 2016

Tytuł oryginału: *The Glass Sword*

THE GLASS SWORD by Victoria Aveyard. Copyright © 2015 by Victoria Aveyard. By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for the translation by Adriana Sokolowska-Ostapko

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Jacket art © 2016 by Toby & Pete

Jacket design by Sarah Nichole Kaufman

Author photo by Stephanie Girard of Stephanie Girard Photography

Adaptacja okładki na potrzeby wydania polskiego:  
Katarzyna Haduch, Eliza Luty

Mapa – © 2015 by Victoria Aveyard. Illustrated by Amanda Persky.  
Used with permission. All right reserved

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Magdalena Adamek / d2d.pl

Korekta: Magdalena Kędzierska-Zaporowska / d2d.pl,  
Anna Woś / d2d.pl

Łamanie: Sandra Trela / d2d.pl

ISBN 978-83-7515-378-1 (oprawa broszurowa)

ISBN 978-83-7515-400-9 (oprawa twarda)



**[www.moondrive.pl](http://www.moondrive.pl)**

---

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,  
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,  
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

---

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,  
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2016.  
Druk: CPI Moravia Books

*Moim dziadkom, tutaj i tam.  
Zawsze jesteście ze mną*

# KRÓLESTWO NORTY I OKOLICZNE ZIEMIE



## ROZDZIAŁ 1

Wzdrygam się. Szmata, którą mi podaje, jest czysta, ale pachnie krwią. Nie powinno mi to robić większej różnicy. Całe ubranie mam zakrwawione. Czerwona krew jest moja, oczywiście. Srebrna jest ich. To krew Evangeline, Ptolemeusza, Wodniaka i całej reszty tych, którzy próbowali zabić mnie na arenie. To również krew Cala. Napuszczeni na nas zabójcy zadali mu wiele ran, z których podczas walki ściekała srebrzysta posoka, znacząc piasek areny. Teraz Cal siedzi naprzeciwko mnie ze spojrzeniem utkwionym w stopach, podczas gdy jego rany powoli zaczynają się goić. Patrzę na jedno z wielu nacięć na jego ramionach, zapewne dzieło Evangeline. Rana jest wciąż świeża i wystarczająco głęboka, aby pozostawić po sobie bliznę. Gdzieś w głębi duszy cieszy mnie ta myśl. Rozebranych tkanek nie uleczy magiczny dotyk chłodnych rąk Uzdrowiciela. Ani Cal, ani ja nie znajdujemy się już w świecie Srebrnych, gdzie z łatwością moglibyśmy usunąć blizny. Uciekliśmy. A przynajmniej ja uciekłam. Łańcuchy, które skuwają Cala, to najlepszy dowód na to, że on pozostaje w niewoli.

Farley zaskakująco delikatnie trąca mnie w rękę.

– Zasłoń twarz, dziewczyno od błyskawic. Właśnie jej będą wypatrywać.

Choć raz posłusznie wykonuję polecenie. Pozostali idą moim śladem, obwiązują kawałkami czerwonego materiału głowy, zakrywając nosy i usta. Twarz Cala pozostaje odkryta, ale nie na długo. Srebrny wojownik nie próbuje się bronić, gdy Farley zakłada mu prowizoryczną maskę, dzięki której wygląda jak jeden z nas.

„Ale nim nie jest”.

Buczenie energii elektrycznej sprawia, że krew w żyłach zaczyna mi wrzeć i nagle przypominam sobie o podskakującym, zgrzytającym podziemnym pociągu. Pojazd nieubłaganie pędzi naprzód, wioząc nas do miasta, które kiedyś było azylem. Mknie przez starodawny tunel niczym zwinni Srebrni po powierzchni ziemi. Wsłuchuję się w szcęk metalu, czuję drgania pociągu głęboko w obolałych kościach. Władające mną na arenie gniew i siła wydają się odległym wspomnieniem, po którym zostają tylko ból i strach. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuje Cal. Stracił wszystko, wszystko, co było dla niego cenne. Ojca, brata, królestwo. Nie mam pojęcia, skąd bierze się jego opanowanie, jak może siedzieć tak spokojnie, kłyszany jedynie ruchem pędzącego pociągu.

Za to dobrze wiem, dlaczego się tak spieszymy. Miny spiętych do granic wytrzymałości Farley i gwardzistów mówią same za siebie. „Wciąż uciekamy”.

Maven przebył już tę drogę i tu wróci. Tym razem z potężną armią, rozwścieczoną matką i koroną na głowie. Wczoraj był księciem, dziś stał się królem. Myślałam, że jest moim przyjacielem, narzeczonym. Teraz nie mam już złudzeń.

Kiedyś mu ufałam. Teraz zaczęłam go nienawidzić i nauczyłam się go bać. Żeby zdobyć koronę, pomógł zabić



swojego ojca, po czym winę za zbrodnię zrzucił na brata. Wie, że promieniowanie otaczające zrujnowane miasto to kłamstwo – zwykły podstęp – i wie, dokąd prowadzą tory. Schronienie, które stworzyła Farley, nie jest już bezpiecznym miejscem, przynajmniej nie dla nas. „Nie dla mnie”.

Być może pędzimy prosto w pułapkę.

Ktoś, jak gdyby wyczuwając mój niepokój, obejmuje mnie ramieniem. „Shade”. Wciąż trudno mi uwierzyć, że mój brat jest tu ze mną, żyje, a co najdziwniejsze – jest taki jak ja. Czerwony i Srebrny, silniejszy od jednych i drugich.

– Nie pozwolę, żeby znowu cię złapali – mamrocze tak cicho, że ledwie słyszę jego słowa. Zdaje się, że członkowie Szkarłatnej Gwardii nie mogą być lojalni wobec nikogo prócz organizacji, nawet wobec rodziny. – Obiecuję ci.

Jego obecność uspokaja mnie i sprawia, że na chwilę cofam się w czasie. Wracam do dni sprzed poboru, do deszczowej wiosny, gdy wciąż jeszcze mogliśmy udawać, że jesteśmy dziećmi. Nie istniało dla nas nic poza błotem, wioską i niemądrym nawykiem lekceważenia przyszłości. Teraz mogę myśleć tylko o przyszłości, zastanawiając się, jakie jeszcze katastrofy ściągnęłam na nas swoimi działaniami.

– Co teraz zrobimy? – pytanie kieruję do Farley, ale spojrzeniem odszukuję Kilorna. Stoi u boku przywódczyni, oddany sprawie bojownik o zaciśniętych szczękach, owinięty zakrwawionymi bandażami. Trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno był zwykłym chłopakiem terminującym u rybaka. Tak samo jak Shade wydaje się nie pasować do tego miejsca, jest postacią z przeszłości, duchem minionych czasów.

– Zawsze można gdzieś uciec – odpowiada Farley, która niemal nie spuszcza oka z Cala.

Spodziewa się, że Srebrny będzie walczył, stawiał opór, on tego jednak nie robi.

– Nie odstępuję jej na krok. – Po dłuższej chwili Farley spogląda na Shade’a. Mój brat przytakuje skinieniem głowy, czując ciężar jego ręki spoczywającej na moim ramieniu. – Nie możemy jej stracić.

Nie jestem generałem ani strategiem, ale nie dziwi mnie rozumowanie Farley. Jestem dziewczuszką od błyskawic – żywą energią elektryczną, błyskawicą w ludzkiej postaci. Wielu zna moje imię, moją twarz i moje umiejętności. Jestem cenna i potężna, dlatego Maven zrobi wszystko, żeby mnie powstrzymać przed kontratakiem. Chociaż wiem, że mój brat jest taki sam jak ja, i w życiu nie widziałam nikogo ani niczego, co byłoby od niego szybsze, nie mam pojęcia, w jaki sposób mógłby ochronić mnie przed przewrotnym nowym królem. Muszę jednak zaufać Shade’owi, nawet jeśli wykonanie powierzonego mu zadania graniczy z cudem. W końcu na moich oczach rozegrało się tyle niewiarygodnych zdarzeń, że kolejna udana ucieczka wydaje się przy nich pestką.

W pociągu rozlega się szcęk broni, gwardziści szykują się do wysiadki. Kilorn, lekko chwiejąc się na nogach, przesuwa się, aby stanąć koło mnie, w dłoniach ściska karabin przewieszony przez klatkę piersiową. Spogląda na mnie łagodnie. Próbuje uśmiechnąć się szelmowsko, jak za dawnych czasów, żeby mnie rozśmieszyć, ale jego zielone oczy są poważne i czai się w nich lęk.

Za to Cal siedzi bez ruchu, niemal spokojnie. Chociaż ma najwięcej powodów do obawy – skuty, otoczony wrogami i ścigany przez brata – wydaje się pogodny. Jest żołnierzem z krwi i kości. Wojna to jego naturalne środowisko, a my właśnie ją rozpętaliśmy.

– Mam nadzieję, że nie zamierzacie walczyć – odzywa się nagle, przerywając milczenie. Patrzy na mnie, ale

pytanie wycelowane jest w Farley. – Mam nadzieję, że planujecie ucieczkę.

– Niech cię o to głowa nie boli. – Wojowniczką się prostuje. – Wiem, co robić.

Nie potrafię się powstrzymać, żeby nie wypalić:

– On też wie. – Farley sztyletuje mnie spojrzeniem, ale taki wzrok to dla mnie nie pierwszorzędny. Nie drga mi nawet powieka. – Zna ich metody, wie, jak będą chcieli nas powstrzymać. Wykorzystajcie go.

„Jak to jest, kiedy ktoś cię wykorzysta?” Rzucił mi te słowa prosto w twarz w lochach pod Kościńcem i wtedy poczułam się tak, jak gdyby przeszył mnie rozżarzony pręt. Teraz czuję jedynie lekkie ukłucie w sercu.

Wojowniczką milczy, a to Calowi wystarcza.

– Wypuszczą Lwie Paszcze – oznajmia ponuro.

Kilorn wybucha śmiechem.

– Naślą na nas kwiaty?

– Samoloty odrzutowe – poprawia go Cal, przyglądając mu się z niesmakiem. – Pomarańczowe skrzydła, srebrne kadłuby, sterowane przez jednego pilota, niesamowicie zwrotne, idealne do ataku na cele miejskie. Każdy uzbrojony w cztery pociski. Przyleci dywizja, co daje razem czterdzieści osiem rakiet, przed którymi musicie uciec, do tego dojdą strzały z lekkiej amunicji. Dacie sobie z tym radę?

Odpowiada mu cisza. „Nie, nie damy”.

– A odrzutowce to najmniejsze z naszych zmartwień. Będą jedynie krążyć, pilnować obrzeży, trzymać nas w szachu, dopóki nie przybędą oddziały lądowe.

Spuszcza wzrok, zamyśla się na krótką chwilę. Zastanawia się, jakie rozkazy wydałby, gdyby znalazł się po drugiej stronie barykady. Gdyby królem był on, a nie Maven.

– Otoczą nas i postawią warunki. Będziecie mogli uciec, jeśli oddacie Mare i mnie.

Kolejne poświęcenie. Powoli wciągam powietrze. Jeszcze wczoraj, nawet dziś rano, zanim zaczęło się to całe szaleństwo, z radością oddałabym się w ręce Srebrnych, żeby ocalić choćby Kilorna i brata. Ale teraz... teraz wiem, że jestem wyjątkowa. I muszę chronić innych. Teraz wiem, że nie można mnie poświęcić.

– Nie możemy się na to zgodzić – oznajmiam. Jest to gorzka prawda. Czuję na sobie ciężkie spojrzenie Kilorna, ale na niego nie patrzę. Nie zniosę jego oceny.

Cal jest mniej surowy. Przytakuje skinieniem głowy.

– Król wcale nie liczy na to, że się poddamy – mówi. – Odrzutowce obrócą ruiny miasta w perzynę, grzebiąc większość z nas pod gruzami, piechota rozprawi się z nie-dobitkami. Masakra to delikatne określenie tego, co się tu rozegra.

Dumna Farley nie spuszcza z tonu nawet teraz, gdy jest przyparta do muru.

– Co więc proponujesz? – pyta, nachylając się nad Callem, w jej głosie pobrzmiewa pogarda. – Bezwarunkową kapitulację?

Na twarzy Cala odmalowuje się coś na kształt odrazy.

– Maven tak czy inaczej was zabije. Zginiecie wszyscy, albo w lochach, albo w walce.

– Lepiej więc ginąć z bronią w ręku – oświadcza Kilorn przesadnie donośnym głosem, podczas gdy jego palce drżą. Podobnie jak pozostali buntownicy gotowy jest zrobić wszystko dla dobra sprawy, tyle że on wciąż jeszcze się boi. Wciąż jeszcze jest chłopcem, zaledwie osiemnastoletnim, który ma zbyt wiele powodów, aby żyć, i zbyt mało, by umrzeć.

Cal parska szyderczo, słysząc buńczuczną deklarację Kilorna, jednak milczy. Wie, że drastyczne opisy zbliżającej się zagłady na nic się nie zdadzą.

Farley lekceważąco macha ręką, zbywając tym gestem zarówno słowa Cala, jak i Kilorna. Stojący za mną brat jest równie zdeterminowany jak ona.

Dociera do mnie, że oni wiedzą więcej niż my i na razie nie chcą się tą wiedzą dzielić. Maven pokazał nam wszystkim, jaką cenę można zapłacić, jeśli zbyt pochopnie obdarzy się kogoś zaufaniem.

– To nie nam pisana jest dzisiaj śmierć – rzuca krótko Farley, po czym rusza na przód pociągu. Jej buty dudnią o metalową podłogę niczym młoty, jak gdyby każdy krok pieczętował powzięte postanowienie.

Jeszcze zanim skład zaczyna wytracać prędkość, wyczuwam, że będzie zwalniał. Przepływ prądu zmniejsza się i słabnie, gdy zbliżamy się do podziemnej stacji. Nie mam pojęcia, co po wyjściu na powierzchnię zobaczymy nad głowami – białą mgłę czy odrzutowce o pomarańczowych skrzydłach. Pozostali zdają się nie zaprzętać sobie tym głowy, sprawnie i zdecydowanie wysiadają z pociągu. Pograżeni w milczeniu, uzbrojeni i zamaskowani gwardziści wyglądają na prawdziwych żołnierzy, ale ja wiem swoje. Nie mogę się równać z tym, co na nas czeka.

– Przygotuj się – tuż przy uchu słyszę szept Cala, który przyprawia mnie o dreszcze. Przypominają mi się dawno minione dni, gdy tańczyliśmy w blasku księżyca. – Pamiętaj, jaką masz siłę.

Kilorn przepycha się w moją stronę i rozdziela nas, zanim zdążę odpowiedzieć, że niczego na świecie nie jestem teraz pewna prócz własnej siły i umiejętności. Elektryczność krążąca w moich żyłach to chyba jedyna rzecz, do której mam zaufanie.

Chcę wierzyć Szkarłatnej Gwardii, chcę ufać Shade'owi i Kilornowi, ale nie mogę sobie na to pozwolić, nie po tym, do czego doprowadziła nas moja ufność wobec Mavena,

moje zaślepienie. Zawierzenie Calowi w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jest więźniem, Srebrnym, wrogiem, który zdradziłby nas, gdyby tylko mógł – gdyby miał do-  
kąd uciec.

Jednak mimo to nadal coś mnie do niego ciągnie. Pamiętam pochmurnego młodzieńca, który podarował mi srebrniaka, kiedy byłam nikim. Tym jednym gestem odmienił moją przyszłość, a swoją zniszczył.

Łączy nas sojusz – niełatwy, zrodzony we krwi i zdradzie. Jesteśmy sprzymierzeni, zjednoczeni przeciwko Mavenowi; przeciwko wszystkim, którzy nas zdradzili; przeciwko światu, który lada chwila się rozpadnie.

\*

Wita nas cisza. Nad ruinami Naercey wisi szara, wilgotna mgła, przez którą niebo wydaje się tak niskie, że mam wrażenie, iż można go dotknąć. Jest zimno, w powietrzu czuć chłód jesieni, pory przemiany i śmierci. Na razie nigdzie jeszcze nie widać niebezpieczeństwa, nie słysząc nadlatujących odrzutowców, które miały dokończyć dzieła zniszczenia w Mieście Ruin. Farley żwawym krokiem prowadzi nas od stacji w stronę szerokiej opustoszałej alei. Budynki wokół nas przypominają ściany przepastnego kanionu i wydają się bardziej poszarzałe i popękane, niż zapamiętałam.

Maszerujemy ulicą na wschód, w kierunku spowitego mgłą nabrzeża. Wysokie, częściowo zawalone budowle nachylają się nad nami, odprowadzają nas spojrzeniem pustych okien. Za każdym załomem wyszczerbionego muru, w każdym zacienionym sklepionym przejściu mogą zचाić się Srebrni gotowi rzucić się do gardła gwardzistom. Maven może zmusić mnie, abym patrzyła, jak wybija

buntowników jednego po drugim. Może pozbawić mnie luksusu, jaką jest szybka, bezbolesna śmierć. „Albo co gorsza – przelatuje mi przez głowę – w ogóle nie pozwoli mi umrzeć”.

Myśl o tym niczym dotyk Srebrnego Mroźnego ścina mi krew w żyłach. Mimo że Maven mnie okłamywał, zdarzały się również chwile, w których odsłaniał przede mną swoje serce. Pamiętam, jak w lochu drżącymi palcami chwycił mnie przez kraty. I pamiętam też imię, które wryło mu się w pamięć i które przypomina o tym, że on również ma serce. „Miał na imię Thomas i widziałem, jak umiera”. Nie mógł ocalić tamtego chłopaka. Ale na swój przewrotny sposób może ocalić mnie.

„Nie”. Nigdy nie dam mu tej satysfakcji. Prędzej zginę.

Jednak chociaż staram się ze wszystkich sił, nie potrafię zapomnieć tego, za kogo go uważałam – zagubionego i zapomnianego księcia. Chciałabym, żeby ten ktoś naprawdę żył. Żeby istniał nie tylko w mojej pamięci.

Zastanawia mnie dziwna głęboka cisza, która panuje w ruinach Naercey. Dopiero po chwili uzmysławiam sobie, dlaczego tak jest. „Nie ma uciekinierów”. Kobieta zamiatająca góry pyłu, dzieci chowające się w kanałach, cienie moich Czerwonych braci i siostr – wszyscy zniknęli. Zostaliśmy tylko my.

– Możesz myśleć o Farley, co chcesz, ale ona nie jest głupia – odzywa się Shade, odpowiadając na moje pytanie, jeszcze zanim zdążam je zadać. – Wczoraj wieczorem po ucieczce z Archeonu wydała rozkaz ewakuacji. Spodziewała się, że ty lub Maven wydacie nas podczas tortur.

„Mylili się”. Nie trzeba było torturować Mavena. Mój były narzeczony wyjawił wszystko dobrowolnie. Otworzył przed matką swój umysł i pozwolił jej grzebać w nim do woli. Podziemny pociąg, tajemne miasto, lista. Teraz

królowa rozporządza tymi wszystkimi informacjami, tak samo jak rozporządza swoim synem.

Za nami maszeruje gromada gwardzistów, źle uformowana kolumna uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Kilorn idzie zaraz za mną, rozglądają się niespokojnie na boki, Farley kroczy na czele. Dwóch krzepkich żołnierzy prowadzi za nią Cala, trzymając go mocno za ramiona. Przez to, że ich twarze są obwiązane czerwonymi maskami, przypominają postacie z koszmarów. Została nas jednak zaledwie garstka, góra trzydziestu, wszyscy ranni. Większość zginęła.

- Za mało nas, żeby dalej walczyć, nawet jeśli uda nam się uciec - szepczę do brata. Leżąca nisko mgła tłumi mój głos, ale mimo to Shade mnie słyszy.

Kąciki jego ust drgają, jak gdyby chciał się uśmiechnąć.

- O to się nie martw.

Chcę wycisnąć z niego więcej, ale w tym momencie żołnierz przed nami się zatrzymuje. Nie tylko zresztą on. Idąca na przodzie Farley unosi pięść, zadziera głowę i wpa-truje się w sine niebo. Pozostali również podnoszą spoj-rzenia, szukając we mgle czegoś, czego jeszcze nie widać. Tylko Cal patrzy w ziemię. On dobrze wie, jak wygląda narzędzie naszej zbliżającej się zagłady.

Powietrze przeszywa odległy, nieludzki ryk. Mecha-niczny odgłos przybliża się i oddala, jak gdyby nad naszymi głowami coś zataczało koła. I jak gdyby to coś miało towarzyszy. Dwanaście sylwetek w kształcie strzały prze-cina niebo, pomarańczowe skrzydła raz po raz wylaniają się z chmur, po czym znów w nich znikają. Nigdy nie widziałam odrzutowców w świetle dnia i z tak bliska, dlatego mimowolnie rozdziawiam usta, gdy samoloty ukazują się moim oczom. Farley wyrzaskuje rozkazy gwardzistom, ale ja jej nie słyszę. Za bardzo jestem zajęta gapieniem się



w niebo i wpatrywaniem w skrzydlatą śmierć, która krąży nad nami. Latające maszyny tak samo jak motocykl Cala są piękne, zrobione ze stali i szkła powyginanych w niewiarygodny sposób. Przy ich budowie na pewno pomagali Żeleźcy – kto inny mógłby sprawić, że metal lata? Niebieskawe silniki zamontowane pod skrzydłami odrzutowców iskrzą, a to znaczy, że płynie w nich prąd. Ledwie go wyczuwam, jego obecność jest niczym muśnięcie oddechu, ale maszyny są zbyt daleko, żebym mogła na nie wpłynąć. Mogę jedynie przyglądać się im z przerażeniem.

Kołużą z wyciem nad Naercey, nie wylamując się z szyku ani na chwilę. Można by nawet udawać, że są niegroźnymi, ciekawskimi ptakami, które przyleciały obejrzeć zniszczenia pozostałe po stłumieniu buntu. Nagle jednak szary kawałek metalu odrywa się od jednej z maszyn i wlokąc za sobą smugę dymu, mknie w dół tak szybko, że z trudem nadążam za nim spojrzeniem. Wpada prosto na budynek stojący przy alei niedaleko od nas i znika w pustym oknie. Ułamek chwili później nad domem wykwita czerwonomarańczowy pióropusz ognia i wybuch niszczy całe piętro popadającego w ruinę budynku. Kawałki ścian osuwają się na liczące kilkadziesiąt wieków filary, które łamią się niczym wykałaczki. Cała budowla przechyla się, a następnie upada powoli jak we śnie. Gdy góra gruzu zwała się na ulicę, tarasując nam drogę, głęboko w piersiach czuję dudnienie. Chmura dymu i pyłu leci prosto na nas, ale ja się nie cofam. Teraz nie tak łatwo mnie przestraszyć.

Spowija nas brunatnoszary obłok i choć pilnujący Cala gwardziści kucają, on – tak samo jak ja – dalej stoi. Nasze spojrzenia się krzyżują i wtedy zauważam, że ramiona ma przygarbione. To jedyna oznaka zasmucenia, na którą sobie pozwolił.

Farley chwytą gwardzistkę, która przypadła do ziemi najbliżej niej, i dźwiga ją na nogi.

– Rozproszyc się! – wrzeszczy, wskazując boczne uliczki. – Na północ, do tuneli! – Wyciąga rękę w stronę tych poruczników, których dotyczy kolejny rozkaz. – Shade, do parku! – Mój brat przytakuje skinieniem głowy, najwidoczniej zrozumiałwszy komendę. Następny pocisk pruje w kierunku pobliskiego budynku i zagłusza słowa Farley. Nietrudno jednak domyślić się, co woła.

„Kryć się”.

Jakaś część mnie pragnie zostać, stawić opór, walczyć. Fioletowo-białe błyskawice, które mogłabym przywołać, z pewnością skupiłyby uwagę odrzutowców i odciągnęły je od uciekających gwardzistów. Prawdopodobnie unieszkodliwiłabym parę samolotów, zanim one zniszczyłyby mnie. Ale nie mogę tego zrobić. Jestem cenniejsza niż pozostali, cenniejsza niż czerwone chusty i bandaże. Ja i Shade musimy przetrwać – jeśli nie dla dobra sprawy, to dla dobra innych. Dla setek osób z listy – podobnych nam mieszańców, wybryków natury, dziwadła, Czerwono-Srebrnych dziwołagów, którzy naszą klęskę bez wątpienia przypłacą życiem.

Shade wie o tym równie dobrze jak ja. Bierze mnie pod rękę i ścisną tak mocno, że niemal zostawia siniaki. Ruszam razem z nim, pozwalam mu wyprowadzić się z szerokiej alei i zanurzyć w szaro-zielonej płataninie drzew i przerośniętych krzewów wdzierających się na ulice. Im głębiej wchodzimy, tym gęstsze stają się zarośla, sękate pnie i gałęzie przypominają zniekształcone palce. Zaniedbany od wieków park, który przemienił się w wymarłą dżunglę, ochrania nas przed zagrożeniem z nieba i po chwili już tylko słyszemy odrzutowce krążące coraz niżej nad miastem. Kilorn depcze nam po piętach. Przez chwilę mogę udawać, że znów jesteśmy w domu, włóczymy

się po Palach, szukając przygód i kłopotów. Tutaj jednak znajdujemy jedynie kłopoty.

Gdy Shade w końcu gwałtownie się zatrzymuje, a jego wryte w ziemię obcasy zostawiają czarny ślad, oglądam się za siebie. Kilorn staje obok z karabinem bez sensu wyceLOWANYM w niebo, ale oprócz niego nie ma z nami nikogo. Nie widzę już ani ulic, ani zamaskowanych czerwonymi chustami postaci uciekających w ruiny miasta.

Brat spogląda w górę między konarami drzew i czeka, aż kołujące odrzutowce odlecą dalej.

– Dokąd biegniemy? – pytam, ciężko oddychając.

Odpowiada mi Kilorn:

– W stronę rzeki. I oceanu. Możesz nas tam zabrać? – Patrzy na ręce Shade’a, jak gdyby mógł w nich dostrzec jego umiejętność. Jednak ta moc podobnie jak moja jest głęboko ukryta i pozostaje niewidzialna, dopóki on nie zdecyduje się jej ujawnić.

Brat kręci głową.

– Nie jednym skokiem, jest za daleko. I wołałbym pobiec, oszczędzać siły. – Oczy mu pochmurnieją. – Niedługo mogą mi być jeszcze bardziej potrzebne.

Przytakuję skinieniem głowy. Znam dobrze to uczucie zmęczenia przychodzące po korzystaniu z mocy; wycieńczenia tak ogromnego, że z trudem można się poruszać, a co dopiero walczyć.

– Dokąd zabierają Cala?

Kilorn marszczy brwi, słysząc moje pytanie.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– A powinno – odpalam, chociaż w moim głosie po-brzmiewa wahanie. „Nie, nie powinno go to obchodzić. Ani mnie. Nie ma z nami księcia, więc nie trzeba się nim przejmować”. – On mógłby nam pomóc się stąd wydostać. Mógłby walczyć r a z e m z nami.

- Przy pierwszej lepszej okazji ucieknie albo nas pozabija - odburkuje Kilorn. Zrywa chustę, odsłaniając grymas niezadowolenia, który maluje się na jego twarzy.

Przed oczami staje mi ogień Cala. Płomienie pochłaniające wszystko na swojej drodze, od metalu po ludzkie ciało.

- Gdyby chciał, już by nas zabił - oznajmiam. Nie przesadzam i Kilorn o tym wie.

- A ja myślałem, że kiedyś wyrośnięcie z tych waszych sprzeczek - odzywa się Shade, stając między nami. - Byłem naiwny.

Kilorn zaciska szczęki i cedzi przez zęby słowa przeprosin, ale ja go nie przepraszam. Koncentruję się na odzrutowcach, wyczuwam bicie ich elektrycznych serc. Mechaniczny puls słabnie z każdą sekundą, coraz bardziej się oddala.

- Odlatują. Jeśli mamy uciekać, zróbmy to teraz.

Brat i Kilorn dziwnie na mnie patrzą, ale nie protestują.

- Tędy. - Shade wskazuje wijącą się między drzewami wąską, prawie niewidoczną ścieżkę, z której zmieciono ziemię, odsłaniając kamienie i asfalt. Znów bierze mnie pod rękę, Kilorn zaś rusza przed nami i narzuca szybkie tempo.

Ocierając się o zwisające nisko gałęzie, pędzimy dróżką, która zwęża się coraz bardziej, aż w końcu starcza na niej miejsca tylko dla jednej osoby. Jednak Shade zamiast mnie puścić, jeszcze mocniej przyciska się do mnie. Dopiero w następnej chwili orientuję się, że to nie Shade na mnie napiera. To powietrze, cały świat. W jednej ciemnej, dusznej sekundzie wszystko się kurczy i ścieśnia. W następnej stoimy po drugiej stronie parku i patrzymy na szary gąszcz drzew, z którego wylania się Kilorn.

- Ale on był przed nami - mamrocze, spoglądając to na Shade'a, to na ścieżkę. Znajdujemy się na środku ulicy,

nad naszymi głowami powoli przesuują się chmury i dym. – Ty...

Shade wyszczerza zęby w wesołym uśmiechu, zupełnie niepasującym do okoliczności takich jak odległy ryk odrzutowców.

– Powiedzmy, że... przeskoczyłem. I o ile trzymasz się blisko, możesz zabierać się ze mną – wyjaśnia, po czym rusza w stronę następnej alei i ciągnie mnie za sobą.

Serce mi łomocze na myśl, że przed chwilą teleportowałam się w miejsce, w którym niemal można zapomnieć o naszej beznadziejnej sytuacji.

Odrzutowce jednak szybko przypominają mi, gdzie jesteśmy. Na północ od nas eksploduje kolejny pocisk i rozsada budynek, który wali się z hukiem równym trzęsieniu ziemi. Chmura pyłu sunie w naszą stronę, obsypując nas kolejną warstwą szarego kurzu. Dym i ogień stały się dla mnie czymś tak normalnym, że powoli przestają czuć ich zapach, nawet gdy z nieba leci popiół niczym śnieg. Zostawiamy w nim odciski stóp. Być może będą one ostatnimi śladami naszej obecności na tej ziemi.

Shade wie, dokąd iść i którądy uciekać. Kilorn z łatwością dotrzymuje nam kroku, mimo że dźwiga ciężki karabin. Po chwili jesteśmy znów na głównej alei. Na wschodzie przez tumany kurzu i dymu przebija się kawałek czystego nieba i snop promieni słonecznych, wraz z nimi dociera do nas słony zapach morskiego powietrza. Na zachodzie pierwszy wysadzony budynek leży niczym powalony olbrzym, blokując drogę powrotną do pociągu. Wokół nas potłuczone szklane ściany, żelazne szkielety budowli i bielejące płyty ekranów ochronnych wznoszą się niczym upiorny pałac ruin.

„Co tutaj kiedyś było? – zastanawiam się przez chwilę. – Julian na pewno by wiedział”. Na samą myśl o nauczycielu przeszywa mnie ból, kończę więc rozważania.

W szarym krajobrazie dostrzegam kilka przemykających między gruzami czerwonych chust i rozglądam się za znajomą sylwetką. Nigdzie jednak nie widzę Cala i ogarnia mnie przerażenie.

– Nie ruszę się bez niego.

Shade nie musi pytać, o kim mówię. Doskonale to wie.

– Księżę idzie z nami. Masz moje słowo.

Odpowiedź, którą rzucam, łamie mi serce.

– Nie ufam niczyim słowom.

Shade jest żołnierzem. Nie miał łatwego życia i nauczył się wiele znosić. Mimo to moja postawa go rani. Poznaje to po jego twarzy.

„Później go przeproszę”, obiecuję sobie.

O ile istnieje dla nas jakieś „później”.

Kolejny pocisk przecina powietrze i wybucha kilka ulic dalej. Odległy huk eksplozji nie zagłusza jednak dudniącego i bardziej niepokojącego odgłosu, który rozlega się coraz wyraźniej.

Tupotu tysiąca maszerujących butów.

## ROZDZIAŁ 2

Powietrze gęstnieje od popiołu, dzięki czemu zyskujemy kilka sekund, aby popatrzeć na nadciągającą zagładę. Maszerujący ulicami żołnierze zbliżają się od północy. Nie widzę jeszcze, w co są uzbrojeni, ale armia Srebrnych nie potrzebuje broni, żeby zabijać.

Część gwardzistów rzuca się do ucieczki, co tchu pędzą aleją. Może i zdołaliby uciec, ale niby dokąd? Za nami są tylko rzeka i morze. Nie ma dokąd pójść, nie ma gdzie się ukryć. Armia maszeruje zadziwiająco powoli. Mrużę oczy, usiłuję przyjrzeć się żołnierzom przez chmurę pyłu. Po chwili dociera do mnie, co wymyślił Maven. Czuję wstrząs, który sprawia, że od wewnątrz i na zewnątrz przeszywa mnie elektryczny dreszcz. Shade i Kilorn odskakują.

- Mare! - woła Shade po części zaskoczony, po części zły. Kilorn w milczeniu patrzy, jak cała drżę.

Gdy kładę rękę na jego ramieniu, nie odsuwa się. Iskry zdążyły już zniknąć - wie, że go nie porażę.

- Patrz. - Wskazuję nasłane na nas wojsko.

Wiedzieliśmy, że przybędą żołnierze. Cal nam o tym powiedział, ostrzegł nas, że Maven w ślad za odrzutowcami wyśle legion. Jednak nawet on nie przewidział tego, co ujrzaly nasze oczy. Jedynie zwichrowany umysł nowego króla mógł wpaść na taki pomysł.

Postacie maszerujące w pierwszym szeregu nie mają na sobie szarych mundurów, które noszą Srebrni żołnierze. Idący na czele armii w ogóle nie są żołnierzami. To słudzy w czerwonych płaszczach, w czerwonych chustach, w czerwonych tunikach, spodniach i butach. Odziani od stóp do głów w czerwień wyglądają jak zlani krwią. Kostki skute mają żelaznymi łańcuchami, które z brzękiem ciągną się po ziemi. Zgrzytliwy dźwięk sprawia, że zaciskam zęby; zagłusza odrzutowce, wybuchające pociški i komendy wyrzaskiwane przez Srebrnych oficerów chowających się za Czerwoną tarczą. Jedyne, co słyszę, to szczęk łańcuchów.

Kilorn wydaje pełen wściekłości warkot. Robi krok do przodu, składa się do strzału, ale karabin w jego dłoniach drży. Armia wciąż jeszcze jest po drugiej stronie alei, za daleko, aby można było dobrze wymierzyć i trafić w obrany cel, nawet gdyby nie chroniła go ludzka tarcza. Teraz oddanie celnego strzału graniczyłoby z cudem.

– Musimy biec dalej – mamrocze Shade. Chociaż w jego oczach płonie gniew, wie, co należy zrobić i co zignorować, żeby przeżyć. – Kilorn, albo w tym momencie idziesz z nami, albo cię zostawiamy.

Słowa Shade'a otrzeźwiają mnie, pomagają otrząsnąć się z szoku. Kilorn stoi w bezruchu, biorę go więc za rękę i szepczę mu prosto do ucha w nadziei, że zagłuszę brzęk łańcuchów:

– Kilornie. – Mówię tym samym tonem, którym zwracałam się do mamy, gdy bracia szli na wojnę, gdy tata miał



napad duszności, gdy wszystko się waliło. – Kilornie, nic nie możemy dla nich zrobić.

Odpowiada mi syk dobiegający zza zaciśniętych zębów:

– Nieprawda. – Kilorn spogląda na mnie przez ramię. – Musisz coś zrobić. Możesz ich uratować...

Pałac się ze wstydu, kręcąc głową.

– Nie, nie mogę.

Ruszamy pędem przed siebie. Kilorn biegnie za nami.

Wybuchają kolejne pociski, z sekundy na sekundę uderzają coraz częściej i bliżej. W pewnym momencie nie słyszę już nic poza dzwonieniem w uszach. Szklane i stalowe budowle kołyszają się niczym trzcina na wietrze, zginają i łamią, obsypując nas deszczem ostrych srebrzystych odłamków. Po chwili bieganie staje się zbyt niebezpieczne. Shade chwytam mnie mocniej za rękę. Łapie również Kilorna i przeskakuje z nami, podczas gdy świat wokół się rozpada. Żołądek podchodzi mi do gardła za każdym razem, gdy ogarnia nas ciemność i gdy rozlatujące się miasto pojawia się coraz bliżej. Popiół i betonowy pył duszą i oślepiają. Połyskliwe lawiny roztrzaskanego szkła staczają nam się na głowy, kalecząc skórę twarzy i rąk, tnąc ubrania. Kilorn wygląda gorzej ode mnie, na jego bandażach widnieje świeża krew, ale mimo to wciąż biegnie na przód, uważając, żeby nas nie wyprzedzić. Chociaż brat nadal trzyma mnie pewnie, wiem, że zaczyna się męczyć, z każdym skokiem staje się coraz bledszy. Ja również nie próżnuję, przywołuję iskry, aby odbić wyszczerbiony kawał metalu, przed którym Shade nie zdążyłby uskoczyć. Jednak nasze umiejętności to za mało, abyśmy mogli uratować z tego piekła kogokolwiek, choćby siebie.

– Daleko jeszcze? – Mój głos wydaje się cichy, zagłusza go wojenny zgiełk. W gęstym od pyłu powietrzu nie widzę dalej niż na parę metrów. Nadal jednak czuję.

Wyczuwam skrzydła, silniki, energię elektryczną wyjąca nad nami, kołującą coraz niżej. Jesteśmy jak myszy, które czekają, aż krążące w górze jastrzębie nagle zanurkują i rzuca się na swoją zdobycz z dziobami i pazurami.

Shade zatrzymuje się nagle, spojrzeniem miodowych oczu omiata okolicę. Przez chwilę z przerażeniem myślę, że być może się zgubiliśmy.

- Czekajcie - rzuca mój brat, jak gdyby wiedział coś, czego my jeszcze się nie domyślamy.

Spogląda w górę na potężny szkielet budynku, który kiedyś z pewnością był wyższy niż najbardziej strzelista z wież Palatium Słońca i szerszy niż wielki plac Cezara w Archeonie. W następnej sekundzie ciarki przechodzą mi po plecach, ponieważ uzmysławiam sobie, że szkielet się kołysze. Rusza się z boku na bok, do przodu i do tyłu, chwielejąc się na osłabionych filarach od wieków popadających w ruinę. Stoimy jak wryci, podczas gdy gigantyczna konstrukcja zaczyna się przechylać, najpierw powoli, niczym staruszek siadający na krzesło, zaraz jednak nabiera pędu i spada prosto na nas i wokół nas.

- Trzymajcie się mnie! - Shade przekrzykuje łoskot i przyciąga nas do siebie. Obejmuje mnie ramieniem z taką siłą, że niemal mam ochotę się wyszarpnąć. Szykuję się na nieprzyjemne odczucie związane z kolejnym skokiem, jednak nic takiego nie następuje. Zamiast chwilowego zamroczenia odczuwam jedynie duszność i słyszę znajomy dźwięk.

Odgłos wystrzałów.

Tym razem życie ratuje mi nie umiejętność Shade'a, ale jego ciało. Kula przeznaczona dla mnie trafia mojego brata w ramię, drugi pocisk rani go w nogę. Shade ryczy z bólu, niemal upada na splekaną ziemię. Czuję strzał,

który przeszył jego mięśnie, ale nie mam czasu na sprawdzanie, czy ja również nie zostałam ranna. Kolejne kule ze świstem przecinają powietrze, jest ich zbyt wiele i są zbyt szybkie, abyśmy mogli stawić im czoła. Pozostaje nam jedynie ucieczka, musimy umknąć przed zawałającym się szkieletem budynku i nadciągającym wojskiem. Jedno zagrożenie powinno pomóc nam uniknąć drugiego – pokręcana stal, zwalając się na ziemię, mogłaby odciąć nas od pościgu – jednak tak się nie dzieje. Gigantyczna konstrukcja, która runęła przez siłę wybuchów i przyciągania ziemskiego, nie staje się dla nas osłoną. Nie dopuszcza do tego moc Srebrnych Żeleźców. Gdy odwracam się za siebie, widzę około dwunastu srebrnowłosych, zakutych w czarne zbroje postaci, które odrzucają na boki stalowe belki i słupy. Jestem za daleko, aby dostrzec ich twarze, ale znam dom Samosów na tyle dobrze, że natychmiast ich poznaję. Evangeline i Ptolemeusz stoją na czele Żeleźców, którzy torują drogę wojsku. Chcą dokończyć to, co zaczęli – zabić nas wszystkich.

Gdyby Cal uśmiercił Ptolemeusza na arenie, gdybym ja okazała Evangeline tyle samo dobroci, ile ona okazała mnie, moglibyśmy teraz mieć jakieś szanse. Jednak kierowanie się miłosierdziem to kosztowny przywilej i być może przyjdzie nam teraz zapłacić za niego życiem.

Nie puszczam brata, podtrzymuję go, jak tylko potrafię. Kilorn bierze na siebie większą część ciężaru. Obejmuje Shade'a obiema rękami i ciągnie go w stronę wciąż jeszcze dymiącego leju po wybuchu pocisku. Bez namysłu wskazujemy do dołu, ciesząc się, że znaleźliśmy osłonę przed gradem kul. Choć częściową. Choć na chwilę.

Kilorn dyszy, krople potu spływają mu na brwi. Odrywa rękaw swojej koszuli i bandażuje nim nogę Shade'a. Krew szybko przesącza się przez prowizoryczny opatrunek.

## MYŚLĘ, ŻE ZOSTAŁAŚ SAMA,

Mare – cedzi cicho Maven. Pomimo tego wszystkiego, co mi zrobił, gdy słyszę, jak wymawia moje imię, przechodzi mnie dreszcz i wracają wspomnienia. Kiedyś zwracał się do mnie z życzliwością i czułością. Teraz wypluwa moje imię niczym przekleństwo. – Twój przyjaciele zniknęli. Przegrałaś. I jesteś czymś obrzydliwym, jedynym w swoim rodzaju wybrykiem natury. Okażemy wszystkim łaskę, usuwając cię z tego świata.



W kontynuacji bestsellerowej *Czerwonej Królowej* Mare Barrow musi zmierzyć się z mrokiem, który ogarnął jej duszę, stawić czoło bezlitosnemu królowi Mavenowi i własnym słabościom.

E-book dostępny na

**woblink.com**

ISBN 978-83-7515-378-1



Cena detal. 36,90 zł

**EVELINE**  
COSMETICS



lubimyczytać.pl

**10 LAT**  
WYDAWNICTWA  
OTWARTEGO

MOONDRIVE  
JEST MARKĄ  
WYDAWNICTWA  
OTWARTEGO